

Antiquarische Buchhandlung

24162

I

ARTUR SCHRÖDER

ORLETA



ARTUR SCHROEDER

ORLETA



DRUK: „PRASA NOWA“ S. A. WE LWOWIE

*

PRINTED IN POLAND

*

ARTUR SCHROEDER

ORLETA

(Z WALK LWOWSKICH)

Z ILUSTRACJAMI

KAMIŁA MACKIEWICZA

WYDANIE IV.



LWÓW — 1930
SPÓŁKA NAKŁADOWA „ODRODZENIE”

24162

II.

Dzieciom moim
JANCE i JURKOWI
poświęcam



51



x-56177
24162 II

PAWEŁ CASIN do autora „Orląt“.

Szanowny Panie i Kolego!

Cześć Waszym młodym bohaterom i cześć pisarzowi, który tak pięknie i powabnie skreślił te niezapomniane karty chwały. Uprzejmie dziękuję za te śliczne „Orląta“. Przeczytałem je od razu, jednym tchem, namiętnie. Właśnie dlatego, że Pańska książka nie jest „zagraniczna“), będzie przetłumaczona zagranicą! A sam zacząłem przekładać „Starszego żołnierza“ do jednego z pism burgundzkich. Lwona nie znam, więc prawdopodobnie się omyłę w niektórych nazwach ulic, szkół, miejsc, czy cmentarzy. Ale mniejsza o to. Treść będzie i duch. Chętniebym też napisał artykuł o książce w poważnym przeglądzie, ale prosiłbym o szczegóły historyczne. Przecież to już przeszłość choć niedawna.*

Przepraszam za lichą polszczyznę i serdecznie dłoń ściskam

PAUL CASIN.

Autum, 24. marca 1926.

*) Świetny pisarz francuski, znany tłumacz Weyssenhoffa, Reymonta i innych, ma tu na myśli aluzję jednego z krytyków polskich, który twierdzi, że gdyby „Orląta“ były pisane nie po polsku, przełożone byłyby na wszystkie europejskie języki.

Od tego czasu „Orląta“ zostały przełożone na język francuski przez Helenę Broel-Plater i poprzedzone wstępem p. Casina.

GŁOSY PRASY.

Gazeta Wieczorna: „Mimo skromności autora, który w słowach przedmowy pięknej zapowiadał migawkowe zdjęcia bez własnej zasługi i mimo rzeczywiste tworzywo tak wielkie, iż na pozór nie wymaga obrobienia — muszę zanegować autorowi i stwierdzić, że te jego proste, dorywcze od ręki na papier rzucone „szkice“, są dziełem sztuki twórczej i cackiem tej sztuki właśnie z powodu ich (dla laika) pozornej „łatwości“. Wielkim jesteśmy narodem, skoro mamy takich „małych“ bohaterów, jakich dał nam poeta. Czytajcie, osądźcie sami. Artysta obowiązek spełnił: talentu nie zakopał do ziemi, miał serce i patrzył w serce“.

Wiek Nowy: „I o tych dzieciach-bohaterach, co drobnymi rączkami obrobiły Lwów, dał nam przepiękne opowieści Schröder. Wszystkie są dziełem niepospolitego talentu i niepospolitego serca. Zapomina się o tem, że czytamy nowele, a zdaje się nam, że kartki te, to jakby własną tych bohaterów ręką pisane“.

Gazeta Lwowska: „Od pierwszej do ostatniej kartki czyta się z zapartym tchem te przepiękne opowieści, które poeta przepoił czarem swego niezwykłego talentu. Książka działa pokrzepiająco i powinna być czytana przez najszerze masy. Jest ona również cennym dokumentem chwili“.

Nowa Reforma: „Autor wie jednak doskonale, że wszelkie literatyzowanie nie licuje z tragizmem wypadków i dlatego bardzo usilnie stara się trzymać na wodzy swój styl, by w słowach pełnych prostoty stanąć na wysokości chwili dziejowej. Zadanie to spełnił w zupełności. Prześliczna jest dedykacja „Drogiemu, małemu Obywatelowi“, która świetnie odzwierciedla styl jednego z preludjów „Nieboskiej komedji“. Dedykacja ta, jak i szereg po niej następujących opowiadań porywa nas i wzrusza“.

Placówka: „Bohaterstwo małych orląt lwowskich występuje w książce znanego poety i bohaterskiego oficera w całym blasku. Opowiadania te, to cacka artystyczne i tak nam bliskie“.

Dzień: „Gdyby autor tych prześlicznych opowiadań był pisarzem zagranicznym, książkę jego przetłumaczonoby już na wszystkie języki. Poeta, sam jako obrońca, przeżył te chwile i wyczarował je z nieporównanem pięknem. Niech te „Orląta“ czyta cała najmłodsza Polska — najlepsza to książka okresu wojennego“.

Drogi Mały Obywatelu!

Podstępny najazd ukraiński w listopadzie 1918 roku, mający na celu zabranie Lwowa, zastał Cię, Drogi Mały Obywatelu, przy książce szkolnej.

Marzyły Ci się dawniej bohaterskie boje Kmicica, Wołodyjowskiego, Podbięty, księcia Józefa Poniatowskiego, Kozińskiego, Sułkowskiego, Sowińskiego — cichych, ofiarnych bohaterów 63 roku, wśród których byli Twoi dziadowie i pradziadowie — potem ostatnie wspaniałe czyny rycerskie w Legionach polskich ojców Twoich i starszych Twoich braci.

Biło Ci żywiej serce i rwały się Twoje młode ręce do czynu, zamały jednak byłeś, za słaby jeszcze — jak powiadali.

Aż oto pewnego poranka miasto Twoje ukochane napadł i zajął nieprzyjaciół — ten Lwów prastary, który z dumą nosi miano kresowej strażnicy.

Przerażone oczy Twoje patrzyły na gwałty i znęcania się, ujrzałeś trupy niewinnych ofiar przed kościołami i na chodnikach.

I w ten dzień dojrzałeś. Szarpnęło się serce w piersiach Twoich, ścisnęły się małe pięści Twoje, przypomnienie Częstochowy, Zbaraża, Kamieńca, sił Ci dodało, przeszłość zawołała mocnym głosem — poczułeś się obywatelem Rzeczypospolitej i tego skrawka świętego Rzeczypospolitej bronić postanowiłeś do ostatka.

Ty mały, wątły, niewyrosty, stałeś się żołnierzem, który już dawno nie na darmo śpiewał: „Nie dam y ziemi!“.

Do niedawna jeszcze bałeś się ciemnego pokoju, „dwójek“, pana profesora, pieściłeś się w ciepłych pokojach, owijałeś w futerko, czekałeś na łakocie — a oto nagle zapomniałeś o tem wszystkim i jeden z pierwszych poszedłeś w prawdziwy bój.

Początkowo niemal gołemi rękoma, potem karabinem, wyższym od Ciebie i bardzo ciężkim, zdobywałeś kulomioty, automobile, działa, amunicję, oczyszczałeś z wroga ulice, często pod oknami mamy i tatusia, których chciałeś uwolnić.

Nocami, w mroźnym wichrze listopadowym, na deszczu i śniegu, w kałuży błota, głodny, trwałeś karnie na zasypywanej morderczym ogniem placówce.

Kładły się ciała Twoich towarzyszy broni na wieczny sen w Ogrodzie Pojezuickim, na ulicy Bema, na Cytadeli, na górze Stracenia, pod Sejmem, — barwiły się bruki szkarłatem krwi Twojej serdecznej.

Nic Cię nie odstraszało, nic złamać nie zdołało.

Byłeś podziwem dla starszych, postrachem dla nieprzyjaciela, chlubą miasta i jego nadzieją promienną.

Tobie, Ty wierny, nieustępliwy, ofiarny, wielki duchem, Mały Obywatelu, te kartki, marne odbłaski kilku czynów Twoich, są poświęcone.

Niepotrzebne są one jako świadectwo męstwa Twego! Chlubniejsze świadectwo napisałeś Ty sam sobie na kartach historii najtrwalszym atramentem: krwią swoją.

Chcę Ci tylko, Drogi Mały Obywatelu, w tych kilku prawdziwych, prostych, serdecznych, tak jak Twoja dusza, opowiadaniach, każdym słowem, każdą literą powiedzieć, to piękne, polskie słowo, w którem tyle się mieści: Cześć!

W KRWAWEM GNEŹDZIE



Krwia ociekła, zgłodniała, w łanie ognia znów,
nie zdolawszy zabiłnić jeszcze świeżych ran,
nieugiętych, kresowych gniazdo polskich lwów
w huraganie dział gnie się, jak pod burzą łan.

Z pośród ciężko nawisłych ponad miastem chmur
raz po razu wy błyska niewstrzymany grom,
z jękiem cichym ktoś pada pod uliczny mur —
wali się gdzieś z łoskotem rozszarpany dom.

Między ludźmi chichocząc chadza jawnie śmierć,
towarzyszką się stała już nocą i dniem —
w chudych dźwiga piszczelach kosy krwawej żerdź
i zabija bezbronnych swym trującym tchem.

Nikt nie myśli już o niej. Jeden więcej trup
wszak nie zdoła przerazić bólem skatych sere
w mieście, które jest całe, jak otwarty grób,
przemieniony w ostatnią z zapomnianych twierdz.

Z jej niezłomnych i dumnych, ogniem żartych baszt
tak, jak dawniej, powiewa Święty Biały Ptak —
niby w morzu tonący okrętowy maszt
całej Polsce ostatni daje życia znak.

Oczy dymem złzawione, trudem zryta twarz,
rozpalony karabin grzmi z omdlałych rąk,
a nie zejdzie z placówek czujna, wierna straż,
murem ciał się młodych waląc gęsto w krąg.

Żołnierz, dziecko, kobieta — każdy dobrze wie,
że ma życie ofiarnie trzeba teraz nieść,
że choć dasza już w męce łamie się i gnie,
bój trza stoczyć ostatni o wolność i cześć.

Czy słyszycie jak gromem ziemia z dala drży,
jak zbudzone powstają widma dawnych snów?
To od baszty kresowej lecą wici skry,
że w obronie was wszystkich w krwi się pławi Lwów i





Był tak wielki jak karabin, który ściskał w ręku. (str. 16).

STASZEK



Było to w nocy z 3 na 4 listopada 1918 roku, na głównym dworcu kolejowym.

Wyekwipowani przez dzielnego komendanta szkoły Konarskiego Starcka, który potem jako kapitan zginął pod Lwowem, udaliśmy się, dzielna redaktorka Janina Łada Walicka, która była pierwszą kobietą pod karabinem, literat-publicysta Ludwik Szczepański i ja na patrol w stronę toru kolejowego prowadzącego ku Podzamczu.

Deszcz lał jak z cebra.

W odległości kilkuset metrów od hali dworca spotkaliśmy się z patrolem pod komendą kaprała legionowego. Rozkaz opiewał: kilku ludzi obsadzi odcinek koło budki kolejowej, i uważać będzie na wozy kolejowe, koło których kręcili się uzbrojeni bandyci i do których od pól próbowały podchodzić patrole ukraińskie, ostrzeliwujące gęsto tę część odcinka — druga część krążyć będzie po obu stronach torów ku stacji Podzamcze. Gdyby szedł jaki pociąg od Podzamcza, rozbiegnąć się po torach w linii tyralierskiej, ostrzeliwać go gęsto i w porządku cofać się do hali dworca.

Zaledwie przybyliśmy na miejsce i rozdzieliliśmy nasze role, rozpoczął się od pół ognia karabinowy w naszą stronę. Osłonięci z jednej strony kupą progów kolejowych, odpowiadaliśmy na ślepo. Po jakimś czasie strzały ustały. Przyszło jeszcze do małego starcia z dwoma rabusiami, rozbijającymi wozy kolejowe, których odstawiliśmy pod strażą do komendy dworca.

Cisza. Deszcz lał ciągle, zimno przejmowało do kości. Po jakimś czasie ujrzałem sylwetkę kaprała legionowego, który podczołgiwał się w naszą stronę z jakimś małym chłopcem. Chłopczyk miał może lat trzynaście. Był tak wielki, jak karabin, który ścisnął w rękę.

— Obywatelu — usłyszałem szept kaprała — pociąg od strony Podzamcza! Placówki się ściągają. Ten mały wraz ze mną podsunął się prawie pod sam nos Ukraińcom na Podzamczu. Właśnie miał odejść pociąg.

W istocie za chwilę z naszego nasypu kolejowego ujrzelśmy zarysy zbliżającego się pociągu z pogaszonemi światłami. Rozrzuceni w tyralierkę po torach, dobrze celując rozpoczęliśmy szybki ogień, cofając się ku hali. Zarysy pociągu zatrzymały się, jak człowiek wahający się co ma robić i poczęły zwolna cofać się w tył. Mieliśmy szczęście że trafiliśmy na tak głupiego przeciwnika, który zląkł się kilkunastu karabinów.

Zadanie wypełniliśmy. Zluzowano nas po dwu i pół godzinach.

W komendzie dworca dostaliśmy posiłek i koniak.

Mały, który z kapralem był pod Podzamczem, stał



A karabin udźwigniesz?... (str. 17).

teraz skromnie w kącie, wsparty o karabin. Koniec lufy sterczał mu nad jasną głowiną.

— A ty co? — zapytał go przechodzący porucznik.

— Staszek — odpowiedział prostując się i nie wymieniając nazwiska. — Wróciłem z patrolu.

— A karabin udźwigniesz? — rzucił ktoś z kąta.

— Czemu nie, nie ciężki.

— No, no!

— Znam go — zwrócił się do mnie jeden z kolejarzy — od dwu dni już tu jest. Sprytny, tylko tak obciążony patronami, że ledwo się rusza. O, popatrzcie!

Podszedł do chłopca i uderzył go po kieszeniach. Zadzwieczały gilzy od ładunków.

— Zawsze mu tego za mało. Jeszcze mu kiedy od ciężaru portki zleca.

Staszek stał dalej. W blasku kilku świeczek nikła jego postać, oparta na karabinie, zdawała się jeszcze drobniejsza. Dano mu „szalkę“ herbaty, chleb i mięso. Potem zniknął mi z oczu.

O godzinie 11 w nocy alarm. Huk piekielny w hali od granatów ręcznych. Ukraińcy rozpoczęli atak od frontu i z boku od strony torów, prowadzących z Zimnej Wody.

Światła pogasły. Jedna tylko świeczka w kącie w głębi wejścia. Donośny głos komendanta.

— Wypelzać na peron! Rozrzucić się po torach!

Wśród pierwszych, którzy zaczęli pełzać na peron, zasypywany już granatami ręcznymi, ujrzałem drobną figurkę Staszka. Zwinny, jak jaszczurka, wysunął się i zniknął.

Gorąca walka trwała godzinę. W jakiś czas przyniesiono dzielnego porucznika Jankowskiego, ciężko rannego w nogę odłamkiem granatu.

Zaświeciliśmy świeczkę by go obandażować.

Nagle, w drzwiach, ujrzałem figurkę Staszka. Brudny od błota i dymu, zbierał w kącie ładunki i spieszenie chował je po kieszeniach. Znowu zniknął, a tymczasem znowu wzmoął się wściekły atak Ukraińców. Widziałem go potem w ogniu. Z daleka dopalały się resztki jakichś desek, wśród których wzniecili ogień Ukraińcy. W dogasającej łunie widziałem Staszka, jak osłonięty tylko słabo bokiem muru, niedaleko zegara w hali, klęcząc, strzelał równo, prędko, nieustannie, niezmordowanie.

Przydały mu się naboje, których mu było zawsze zamało! Tylko, jak te drobne ręczyny się nie znużyły tem ciągłym nabijaniem ciężkiego karabinu i dźwiganiem go do twarzy...

Rano cicho, skromnie, zgłosił się pierwszy do znośzenia rannych. Zobaczyliśmy, że lewy policzek ma opuchnięty.

— A to co?

— Nic — odpowiedział wesoło — kopnął mnie raz „gwer“, bo mi się ześliznął. Każdemu się przytrafi — dorzucił, jakby się chciał usprawiedliwić. „Gwer“ jednak, prawie jeszcze ciepły, przytulił miłośnie do siebie.

— Idź się połóż. Tu niepotrzebnyś, ludzie pomogą.

— To ja na chwileczkę do mamy i wracam.

— A otrzyj sobie krew z nosa. To też pewnie od „gweru“, co?

— Nie wiem.

Staszek sięgnął do kieszeni, wyciągnął brudną szmatkę. Zadzwęczało coś i wypadły trzy naboje.

— Tyleś się nastrzelał, a jeszcze masz naboje?

— Ostatnie! Już nie było do kogo, bo uciekli — wyszeptał, jakby z żalem, podnosząc z ziemi żółte łuski.



PO KOLEI



Opowiadał mi ktoś z ulicy Słowackiego następujący fakt, na który patrzył własnymi oczyma:

Pewnego listopadowego dnia szczególnie zacięta wrzała bitwa. Polacy bronili gmachu pocztowego, atakowanego przez znacznie przeważające siły ruskie. W otworach strychowych naszej kamienicy stały kulomioty ruskie. W mojem zrujnowanem mieszkaniu ustawili się za oknami ruscy oficerowie, którzy raz po raz wychylali się i głośno klęli. Jeden z nich ugodzony kulą w ramię, cofnął się nagle i wpadł do przedpokoju, gdzieśmy siedzieli.

W sposób brutalny, głośno, zażądał wody, obandażował widocznie lekką ranę, następnie odwołał z pokoju swych towarzyszy, wykrzykujących co chwila gminne przekleństwa pod adresem kogoś na poczie.

Gdy się wynieśli, zaciekawieni powodem ich głośnych irytacyj, przytuleni do ściany, podśliznęliśmy się w pokój do okna.

Zrujnowana, paląca się poczta ziała ogniem karabinowym. W okół niej leżały gęsto trupy ludzkie. W pewnem

miejscu, w rozwalonej bramie klęczał na ziemi młodziutki, kilkunastoletni chłopiec i ustawicznie strzelał. Ktoś podawał mu w tyle świeżo nabijane karabiny. Za każdym strzałem słyhać było jęk pod naszą kamienicą. Strzelał niezmiernie celnie.

Przez ulicę puściło się trzech ruskich żołnierzy, pragnących za wszelką cenę dostać się do strzelającego.

Trzy szybkie strzały i trzy trupy wyciągnęły się w poprzek ulicy.

Mieliśmy już odejść od okna, bo kule przez wybite szyby wpadały do mieszkania, brzęcząc jak osy nad naszymi uszami, gdy w tem strzelający chłopiec zachwiał się, wypuścił z dłoni karabin i runął na wznak.

Natychmiast obok niego wyłoniła się druga taka drobna, jak tamta postać, której znowu ktoś podawał nabijane karabiny.

Oparty o martwe ciało kolegi, strzelać musiał również bardzo celnie, bo nikt ze strony ruskiej nie próbował przebiec ulicy.

Wokoło niego rozbryzgiwał się poszarpany mur od lecących kul ruskich i obsypywał go czerwonym mianem.

Strach serce nam ścisnął. Mimo grożącego niebezpieczeństwa ruszyć się nie mogliśmy od okna, oczy nasze przypadły do tego dziecka, usta mimowolnie szeptały jakąś gorącą modlitwę.

Strzały stawały się coraz gorętsze.

Począł grzmieć wszystkimi otworami. W pobliżu wylatywały resztki szyb z kamienic.



W bramie zachybotła się postać strzelającego chłopca (str. 25).

Raptem silniejsza salwa, jedna, druga, trzecia.

W bramie pocztowej zachybotła się postać strzelającego chłopca, podniósł jeszcze karabin, lecz ręce już opadły, skreślił się i usunął się cicho obok zabitego poprzednika.

Z za wyłomu, jak widmo, natychmiast wysunęła się nowa postać, taka jak tamci, rówieśnik.

Szybko odsunął ciało jednego z poległych, oparł się na drugim i podniósł karabin do oczu.

Za sobą usłyszałem płacz:

— Boże, Boże! Dzieci...

Wyprowadziłem szlochającą nerwowo żonę do przedpokoju.



„STARSZY” ŻOŁNIERZ





Wybraliśmy się do szpitala na Technice by odwiedzić por. Jankowskiego. Po drodze, w sprawie pewnej składki, chcieliśmy się widzieć z Maurycym hr. Mycielskim, który pamiętnej nocy z 3. na 4. listopada pełnił z całym poświęceniem służbę sanitarną na głównym dworcu kolejowym, obecnie zaś przydzielony był od kilku dni do szpitala.

Technika cała przepełniona była rannymi i chorymi. W salach wszystkie łóżka były zajęte, ponadto poustawiano na ziemi nosze. Na pierwszym piętrze, w skrzydle, spotkaliśmy znajomą Siostrę, która również dawniej była na dworcu.

— Szukacie kogo?

Powiedzieliśmy cel przybycia.

— Chwilowo wyszedł, wróci za pół godziny. —
Chodźcie do mnie na salę.

Sala natłoczona była rannymi. Wśród nich zwrócił naszą uwagę młodziutki chłopczyk, z nogą wiszącą w powietrzu w bandażach. Chłopczyk bawił się mimo to z zajęciem blaszanymi żołnierzami, których ustawiał na rogu łóżka.

— Cóżto za jeden?

— Ranny jedenastoletni chłopiec.

— Z pewnością w przechodzie ulicą?

— Ale, gdzie tam! Walczył.

Podszedłem do łóżka. Dzieciak tak był zajęty ustawianiem żołnierzy, że mnie nie spostrzegł. Silnie zbudowany, nad wiek wyrośnięty, miał jasną czuprynę, która niesfornie spadała mu ustawicznie na białe czoło.

— Bardzo cię boli noga?

Chłopiec podniósł na mnie duże, niebieskie oczy.

— Niebardo — odpowiedział, zabierając się dalej do blaszanych żołnierzy.

— Gdzie cię ranili?

— Jak pan widzi... w nogę.

— No tak, ale w której części miasta?

— Na cmentarzu Janowskim.

Udawałem, że nie wiem, iż brał udział w walkach.

— Skądżeś się tam wziął?

— Jak to skąd? biłem się.

— Z kim?

— Pewnie, że nie z chłopcami! Strzelałem do Ukraińców — sarknął zniecierpliwiony.

— Ty?

— Albo co? — rzucił hardo, patrząc mi w oczy.

— Udźwignąłeś karabin?

— Siły mam. Byłem najmocniejszy w klasie. Zresztą pan sierżant dał mi taki krótki, lekki karabin, że aż ha.

A strzelać, to mnie już dawniej nauczył brat cioteczny, który chodził na strzelnicę gimnazjalną.

Udawałem dalej, że mnie nic nie dziwi i pytałem, tak, niby mimochodem:

— Musiałeś się tam dosyć namęczyć?

— E, nie. Raz byłem cały dzień i całą noc w ogniu i nic a nic. Spraliliśmy wtedy ich strasznie i zabraliśmy im granaty ręczne. Pan sierżant potem obiecał, że powie panu porucznikowi, aby mnie zamianował starszym żołnierzem. Wie pan, taki, co to przedtem nazywał się freiter. Jedna gwiazdka. Może to się już stało? Gdyby się tak pan dowiedział. Mama zarazby mi przyszyła obok paska na kołnierzu. Może pan się zapytać?

— Dobrze. A ty jak się dostałeś?

— Dymnąłem mamie i kwita. Przez ogród Jezuicki dostałem się na naszą stronę i do szkoły Konarskiego. Tam był bardzo dobry, ale bardzo ostry pan kapitan Kamiński, taki wysoki, duże wąsy, a pani kapitanowa bardzo dobra, prawie jak mama. Dali mi płaszcz, czapkę i przydzielili do „wojska kartoflanego”. No, pan wie...

— Wiem. Ale przecież...

— Pan chce powiedzieć, że nie byliśmy przeznaczeni do linii. Jak już miałem płaszcz i czapkę, a w dodatku wystarałem się o bagnet, razem z jednym znajomym z mojej klasy daliśmy dęba. On nie wiem, gdzie się podział, ja zgłosiłem się na Bema i skłamałem, że gdzieś mi się karabin zapodział, niby, że to już walczyłem. Taka tam była potrzeba! Powiedziałem, że mam lat czternaście. Bo

ja, proszę pana, jestem wysoki, żebym tak wstał, toby pan widział.

Widzę i tak.

— No. Potem to już pan sierżant mną się zaopiekował. Byłem ciągle koło niego. Jak on ślicznie strzelał! Raz już ranny, chciał mnie zasłaniać i krzyczał: „Ustąp się, zatracony raku, bo tam karabin maszynowy“. Pomogłem mu wstać z ziemi, a on znowu: „Ani mi się waży znowu tam leżeć, bo ci łapę skręcę“. Inna rzecz, że wróciłem. Rękaw mi tylko przestrelili. Alem ja im dał bobu!

— Tak?

— No! Potem byłem w kilku miejscach, nie chciałem się tylko spotkać z panią kapitanową, ażeby mnie nie poznała. Chociaż przecież to nie dezercja. Prawda?

— Rozumie się.

— Kilka razy to już myślałem, że mnie utracą Ukraińcy.

— A nie bałeś się?

Chłopiec z jakimś zdziwieniem i oburzeniem burknął:

— Także coś! A cóż to ja jeden? Ja panu powiem, bałem się tylko, żeby mama nie przeszła na drugą stronę, nie odszukała mnie i na wstyd nie kazała wracać do domu. Aj, ta noga! Niech mi pan poprawi, Ten psubrat musiał akuratnie w nogę, żebym nie mógł chodzić. Trochę niech pan tak z boku, o tak, dobrze, dziękuję.

— Boli cię?

— Nie, piecze tylko. Żeby tylko jak najprędzej stąd uciec. Aleśmy im nasolili, co? na Kadeckiej? Szkoda, że



Chłopiec podniósł na mnie duże, niebieskie oczy... (str. 30).

ja tam nie byłem. Ten złodziej, co mnie tak zdzielił w nogę, był taki ogromny jak drzwi.

— Leż spokojnie. A któż ci tych żołnierzy blaszanych naznosił?

Chłopiec się zażenował:

— A... to mama, z domu. Dawne moje zabawki. Nie mam co robić, więc tak sobie... ustawiam bitwę...

Przemknęło mi przez myśl: „Kilka dni temu bił się po rycersku z takimi prawdziwymi żołnierzami „ogromnymi jak drzwi“, a teraz w samotni szpitalnej znowu dziecko, temi samemi rączynami, co dzierżyły grzmiący karabin, ustawia, jak za spokojnych czasów, żołnierzy — blaszanych. Cudne, nieznane nigdzie zespolenie się naiwności dziecka z bohaterstwem obrońcy grodu rodzinnego“.

Chłopiec tymczasem zgarnął żołnierzy i przykrył dyskretnie ręką.

— Idę już. Wylecz się prędko. Cześć.

— Cześć! A proszę pana, może się pan spyta naszego sierżanta o...

— O co?

— Oto, no wie pan, czy naprawdę nie zapomnieli, że miałem być starszym żołnierzem.

— Dobrze, spytam. Przyjdę za kilka dni, jeśli będę mógł.

Z końca sali, wychodząc już, raz jeszcze spojrzałem w jego stronę:

„Starszy żołnierz“ ustawiał już na nowo żołnierzy blaszanych.

~~~~~

# WSPÓŁPRACOWNIK





— Proszę pani, ja chciałbym się przydać na co w redakcji. Do wojska mnie nie chcą, więc bodaj w woj-skowym piśmie, w „Pobudce“.

Wychodziłem właśnie z zecerni, kiedy usłyszałem te słowa. W malutkim pokoiku obok, który stanowił „lokal” redakcyjny, administrację, „salon przyjąć”, ekspedycję i t. d., w nikłym świetle malutkiej lampki, stała drobna postać chłopięca. Dzieciak kręcił czapkę w rękach, przestępował z nogi na nogę i patrząc w oczy redaktorce Walickiej, mówił ciekim wyraźnym głosem:

— Może pani...

— Mamy nowego współpracownika — z uśmiechem odezwała się redaktorka. — A cóżbyś ty tu chciał robić?

— Jabym prosił pani, zawsze tak, jak dziś wieczór, codziennie przychodził, brał kilka numerów gazety i przenosił do „tamtego Lwowa”.

— Zarobiłbyś dobrze — wtrąciłem — tylko widzisz, nie dostaniesz się tam.

Dzieciak energicznie się zwrócił w moją stronę:

— Ja nie za pieniądze!

— Tylko jak?

— Dawałbym ludziom, żeby czytali, że już niedługo będzie cały Lwów nasz i żeby się nie martwili, a przede-  
dostać, to ja się już potrafię. Byłem już raz przez Cyta-  
delę u cioci.

— I puścili cię?

Chłopięc się ośmielił:

— Trochę puścili, trochę potem strzelali, alem uciekał  
skulony, i jakoś nic.

Było to w pierwszych dniach założonej przez nas  
„Pobudki”, zanim jeszcze zorganizowaliśmy regularną  
„dostawę” dziennika poza front, przez dzielne nasze kur-  
jerki i sprytnych starszych łobuzów, którzy sprzedawali  
go w części miasta zajętej jeszcze przez Rusinow po 5,  
a nawet 10 koron. Właśnie przemysłiwaliśmy nad tem,  
by tych kilka numerów, jakie już wyszły, rzucić na  
„tamten” Lwów. Trafia się więc okazja. Cóż kiedy ten  
mały pędrak gotów wpaść z bibułą w ręce Ukraińców.

— Proszę mi dać na próbę dziś kilka gazet. Ja przy-  
niosę poświadczenie, że oddałem.

— Dobrze. A cóż chcesz za to?

— Niiic! — ostro jakoś wyksztusił. A potem prawie  
płaczliwym głosem:

— Do wojska mnie nie chcą, bom nie wyrósł, więc  
tak. Ja chcę też coś zrobić, a ojciec to dziś mówił, żeby  
kto tę gazetę tam zaniósł, toby ludzie we Lwowie zaraz  
lepiej oddychali. Więc ja zaraz tutaj.

Oczy nasze zbiegły się na tej mizernej, niepokażnej  
figurce i z miłością spoczęły na ciemnej strzępiastej czu-  
prynie. Prawie równocześnie spytaliśmy:

— Ile masz lat?

— Będę miał dziesięć w grudniu.

— Dobrze więc, dostaniesz, jakże ci to na imię?

— Józek.

— Dostaniesz Józiu ośm gazet.

— A jaki adres?

— Bez adresu. Dasz komu zechcesz. Tylko Polakom.

— To się wi — szepnął z powagą.

— Niechże się dobrze „wi” i uważa, żeby gdzie Ukraińcy nie przyłapali, bo będzie źle!

— Zobaczą państwo — zawołał głośno i oczy mu się zaśmiały. Wziął ośm numerów „Pobudki”, troskliwie je złożył, szurgnął nogami i uciekł.

Na drugi dzień w południe zjawił się z miną markotną.

— Jużes z powrotem?

— Proszę obywatela (już się nauczył tego słowa i wymawiał je specjalnie) redaktora, placówka nasza nie chce mnie puścić. Możeby tak poświadczenie, że jestem współpracownikiem „Pobudki”.

— Jakto współpracownikiem?

— A no tak, ja raz słyszałem. Niby, że pomagam.

— Czekaj, od nas takiego poświadczenia dostać nie możesz, „współpracownikiem“, jeśli tak chcesz koniecznie, jesteś, ale przepustkę dać musi kto inny.

Poszedłem z nim do szkoły Konarskiego, gdzie w ekspozyturze żandarmerji dano mu pozwolenie dostania się do ostatnich placówek.

Upłynęło dwa dni, „współpracownik”, jak go żarto-

bliwie już nazywaliśmy, nie wracał. Koło godziny 10 w nocy, gdy w redakcji pochyleni nad stołem, zbici w kulącą się gromadę, pracowali koledzy Szarota, Przybyła i Walicka, a ja zajęty byłem przygotowaniem numeru u metrapaży, zjawił się nagle Józek.

— Cześć! — Stał rozpromieniony, uśmiechnięty.

— A, Józek! No i jakże?

— Poszło świetnie. A jak się tam ludzie cieszyli!

— Jak się dostałeś?

— Przez pola od Cytadeli, z powrotem na Żelazną Wodę.

— Spokojnie przeszedłeś?

— Zaraz w polu złapał mnie jakiś żołnierz ukraiński. Pyta gdzie idę, a ja tak jakoś od razu zacząłem „strugać” niemowę. Mówię mu: „u-y-chy-chy-o”, macham rękami, o tak, potem żegnam się trzy razy, jak Rusini. A bałem się, żeby „Pobudka” z za spodni nie wyleciała. Puścił. Ja najpierw powoli, a potem nogi za pas, tyłkom się za brzuch trzymał, tam, gdzie gazety. Żeby obywatel redaktor wiedział, jak się tam cieszyli. A jedną „Pobudkę” to dałem na Akademickiej jakiejś pani, co mówiła po polsku. Aż krzyknęła. Chciała coś mi powiedzieć, ale ja dymnąłem, bo widziałem, że z bocznej ulicy wyłazi zbój z karabinem. Proszę obywatela redaktora, ja teraz więcej wezmę.

Uściskałem dzieciaka. Chciałem go przynajmniej czemś poczęstować, coś kiedy w redakcji prócz konserw, chleba i baniaka czarnej kawy, nad którym jak nad Zniczem, nieustannie czuwało oko naszej koleżanki, nie mieliśmy literalnie nic.





*odwrócił się i pokazał żołnierzowi zdaleka język... (str. 43).*



— Ja zaraz proszę obywatela redaktora wezmę, bo jutro rano znowu idę.

— Dobrze. A uważaj!

— Ho — ho!

Wziął dwanaście numerów.

Odtąd codziennie wieczorem lub nawet nocą przychodził i zabierał paczkę gazet. Ożywił się nadzwyczajnie, drobna figurka jakby wyrosła, wchodził do redakcji jak do własnego domu, krzyczał z powagą na cisnących się chłopców, którym zawsze przedstawiał się jako współpracownik „Pobudki“.

Po pewnym czasie przyszedł jakiś skromniejszy, bardziej nieśmiały, wyjął z kieszeni pomięte korony i oddał mi je.

— Cóż to?

— Nie chciałem wziąć, ale tam, na drugiej stronie, gwałtem mi powpychali, niby za to, że przyniosłem „Pobudkę“.

— Zarobiłeś, weź sobie. I tak już chcieliśmy ci..

— Proszę obywatela — szybkim, zdyszonym głosem zaczął — ja to na wojsko polskie. Czytałem, że jest składka.

— Ależ weź — próbowałem tłumaczyć.

— Proszę obywatela redaktora — tym samym głosem — ja to na wojsko polskie..

Twarz mu się zarumieniła.

— Niech to stoi w gazecie, że za przeczytaną „Pobudkę“.

Nie rzekłem już ani słowa. Uścisnąłem tylko serdecz-

nie wyciągniętą drobną rączkę, pełną papierowych koronówek.

Chłopiec chcąc widocznie, by o tem jak najprędzej zapomnieć, zaczął opowiadać:

— Ale dziś grzali do mnie Ukraińcy pod parkiem Stryjskim. Oni tam do każdego strzelają. Nie chciałem się wracać, bo tato, a przedewszystkiem muszę jutro przynieść „Pobudkę“, bo tam obiecałem. Kule, to tak piszczały jak muchy. Nigdy nie trafiają. Tylko trzeba tak przy ziemi i zygzakiem — pouczał mnie na serjo. — Ja jeszcze więcej wezmę teraz „Pobudki“, mam morowy sposób.

— Jakież to?

— Powiem, jak wrócę.

I rzeczywiście wynalazł sposób. Porozumiał się jakimś cudem ze swoim kolegą szkolnym, Rusinem, który czatował na niego w umówionem miejscu, odbierał część „Pobudki“ i sprzedawał z dobrym zyskiem w mieście. Józek resztę z łatwością już rozrzucał po Lwowie i nosił do znajomych domów, gdzie go zawsze witano z radością.

Aż raz zamiast naszego współpracownika, zjawił się jakiś starszy jegomość, konduktor kolejowy.

— Jestem ojcem Józka — mówił — tego, co to nosił tam „Pobudkę“. Chłopiec jest ranny.

— Co!? Kiedy?

— Przed chwilą właśnie ledwo dowlóknął się do domu, but cały we krwi. Przebiegał od Żelaznej Wody, a że go widocznie już te psi syny znały, iż nosi „Pobudkę“ — musiał ktoś wypatrzeć — więc chcieli go koniecznie zła-

pać. Chłopak uciekł już na naszą stronę, ze złości jednak, jak mówi, że zgubił czapkę, odwrócił się i pokazał żołnierzowi z daleka język. W chwili, gdy się zatrzymywał, ugodziła go kula w nogę. Jakoś jeszcze zdołał dokuszytykać do domu. Dalej nie mógł. Właśnie przyszedłem ze służby. Wdowiec jestem, więc nie miałem czasu badać dokąd i gdzie chodził.

— Sam chciał.

— Ja wiem. Przecież się nie gniewam, niech i on... Prosił mnie, mówił: „Niech tata idzie, odda te pieniądze, ośm koron i powie, że ja dopiero za kilka dni“.

Dziwne wzruszenie ogarnęło me serce.

— Rana ciężka? Można go widzieć?

— Lekka, obok nas lekarz, już był, mówi, że chłopiec ma szczęście, bo jeszcze trochę, a byłoby źle. I to dobrze, że nie ekrazytówka. Jeśli pan chce, to proszę.

Niebawem byliśmy już w mieszkaniu. Na łóżku siedział nasz „współpracownik“ i majstrował coś koło bandażu. Gdy mnie zobaczył, stropił się i zaraz zaczął:

— Tata pewnie wszystko powiedział. Nie mogłem nie pokazać mu języka, bo przez niego zgubiłem czapkę. A zresztą on tak strasznie na Polaków zaklął — świnia! Ale mi to zaraz przejdzie.

— Przejdzie, przejdzie, tylko leż spokojnie — uspokajałem, ściskając, to dzielne, drogie dziecko.

— Niech mi obywatel redaktor przyszele przez tego małego (specjalnym tonem) z drukarni „Pobudkę“. Dobrze? I jeszcze jedno. Chciałbym nad łóżko widokówkę z panem dowódcą Mączyńskim.

— A ty skąd wiesz?

— Czytałem pod afiszem. To on taki, naczelny.

W „Pobudce“ musi być taka kartka, tata zapłaci.

Obiecałem, że „Pobudkę“ wyszlę, widokówkę z „panem dowódcą“ może kiedyś później, bo jeszcze niema.

— Ale panowie się nie gniewają?

— Za co?

— Niby, za ten język? Bo teraz kto „Pobudkę“?...

Wy tłumaczyłem mu, że „Pobudka“ już od dwu dni idzie „tam“ regularnie.

— Ale ja pierwszy...

— Tak, ty byłeś pierwszy — najpierwszy!



BRACIA





Długi, ciemny korytarz w szkole Konarskiego, która mieści żandarmerję, intendenturę, szpital, magazyny, kuchnie i t. d. Na korytarzu resztki słomy, paki z nabojami, jakieś naczynia, nosze. Ponury listopadowy dzień prószący śniegiem i deszczem przez powybijane przez pociski ukraińskie okna. Ruch wielki. Do komendanta Kamińskiego, starego żołnierza legjonowego o marsowym wyglądzie, a czystym, jak kryształ, złotem sercu, wbiegają ordynansi, chłopcy naprawiają zerwane połączenia telefoniczne, kręci się żandarmerja, wnoszą paki. Na podwórzu dymi zdobyta niedawno przez chłopców kuchnia polowa, nad którą osobiście czuwa niezmordowana, otoczona sztabem małych chłopaków, kapitanowa Kamińska, ubóstwiana matka „wojska kartofianego“, tych najmłodszych, którzy zgłosili się do armji, a są o wiele mniejsi od karabinu i mają często mniej lat, niż palców u obu rąk.

Wyszedłem właśnie od komendanta, gdy w kącie korytarza uderzyła mnie głośna, ciekawa rozmowa:

— A ja ci mówię, idź do domu, bo mama i mnie i ciebie ściągnie. Jak ja jeden pójdę, nie będzie znowu takiego krzyku.

— Ouwa, będziemy pod przybranemi nazwiskami.

— Mówię ci, szuruj do domu, takich zresztą mikrusów nie potrzeba.

— Proszę, mikrusów! O trzy niecałe lata jesteś starszy. Olbrzym!

— Władek, znowu zaczynasz?

— To ty.

— Przecież z brzdącami wojny się nie prowadzi. Do „kartotlanego“ też cię nie potrzeba, jest ich dosyć. Zresztą kładę ci, jak łopata w głowę, że mnie zaszкодzisz, mama...

— Polska jest pierwsza, mama druga.

— Ty mnie nie ucz, bąku, tylko machaj, rozumiesz? A tę czapkę wojskową, którą gdzieś świsnąłeś...

— Dostałem.

— ...Mnie oddaj, a weź moją.

— Zbysieek!

— Nie drzyj się!

Krótki, zdławiony krzyk w ciemnym kącie i szamotanie się.

Zwróciłem się w tę stronę. Starszy chłopiec z 4-ma srebrnymi paskami na kołnierzu mundurka gimnazjalnego, wrywał czapkę austriacką, na której tkwił już orzełek polski, a z boku barwiła się wstążeczka biało-amarantowa.

— Cóż to? — udanym, gniewnym głosem zapytałem.

Chłopcy odskoczyli od siebie, czapka została w ręku starszego.

— A, bo ten mikrus zatracony...

— Kto?



*przyniósł jakiś karabin i razem z bratem prali... (str. 51).*

— Brat mój, wszystko mi psuje. Ja przecież muszę do wojska, a on chce też, a w domu będzie bigos. Matka z młodszą siostrą sama, bo ojciec nie wrócił jeszcze z frontu.

Udałem, że jeszcze nic nie wiem i rozpoczęliśmy naradę. W kilka minut porozumieliśmy się. Mały, acz niechętnie, dał się przekonać, że wrócić musi, bo nie przyjąłoby go, zresztą mama. Jeśli Zbysiek będzie gdzieś blisko, przyjdzie do niego i przyniesie mu jedzenie.

— To niby taki tren — żartował ze smutkiem Władek. Jabym się tam i na co innego...

— Wierzę ci, ale tyś w domu potrzebny.

— A widzisz — pan mi wierzy! Ja przy skautach, wiem, jak się w polu zachować.

— Żołnierz za dwa grajcary! — mruknął starszy, jeszcze nieudobruchany.

— Wódz papendeklowy!

— Znowu zaczynacie?

— Nie mógłbym to być przy nim? On może będzie ranny, a ja nie. I będzie się potem chwalił.

— Widzi pan, co mu w głowie!

— Ja nie, żeby się chwalić, tylko, ja... tylko... chciałbym być ranny... dla Polski — wybuchnął prędko. A przytem dużo nastrzelać...

Na chwilę ciepła mgła zasłoniła mi oczy. Pogodziłem jakoś chłopców i odszedłem. W kwadrans potem ujrzałem ich przed szkołą w najlepszej już zgodzie. Coś strasznie ważnego układali. Starszy miał na głowie czapkę woj-



skową, młodszemu gimnazjalna czapka brata zapadała na uszy. Szli tak, trzymając się pod ręce, potem uściskali się i rozeszli. Młodszy skręcił w jakąś uliczkę.

\* \* \*

Przyszedł okres ciężkich walk w ogrodzie Pojezuickim. Kule syczały w nim, jak pszczoły wokół uli. Ziemia krwią przesiąkła. Każde niemal drzewo świeciło się ranami rozdartej kory od tych szalejących kul. Odlatywały drobne gałązki łamane pociskami, koszone były gęste krzewy karabinami maszynowymi. Trupów nawet zbierać nie można było, więc leżały po kilka dni. Grozę nastroju powiększał deszcz ze śniegiem, który w nocy przemieniał się w igły raniące twarz i ręce, przechodzące przez ubranie, na wskrós ciała. Chłopcy trwali po kilkanaście godzin bez zmiany, często bez jedzenia, gdyż z największym trudem można było tylko podsuwać się z amunicją.

Spotkałem komendanta jednego z odcinków w tym ogrodzie. Był ożywiony pełen najlepszych myśli.

— Nie straciliśmy ani kroku, a niedługo wykurzymy ich jeszcze dalej. U mnie trzymają się wszyscy doskonale, mimo, że to wściekle piekło. Prawda, ty często takie historie opisujesz. Był tuż pod dyрекcją kolejową jeden mikrus z 4-ej gimnazjalnej, który strzelał jak anioł i nie chciał się dać złuzować. Co wieczór podpełzał do niego, nie wiem, jak przepuszczany, młodszy brat jego. Przyносił mu jedzenie, a często nawet skradzione gdzieś patроны. Prześlizgiwał się ten szkrab, jak jaszczurka. Raz, w kieszce, prócz codziennego transportu, przyniósł jakiś rewolwer



i razem z bratem prali — jeden z karabinu, a ten rak z rewolweru. Wczoraj podczas tego wściekłego ataku ruskiego, nad wieczorem, starszy został ranny w nogę. Wtedy ten bąk, który akurat wcześniej przylazł, wśród najgwałtowniejszego ognia wyciągnął brata, spokojnie potem poza drzewami objął go wpół i doprowadził do ulicy Matejki. Po drodze jeszcze sobie „użył“, bo odwrócił się i dwa razy strzelił w tył ze swego rewolweru. Pech chciał, że już w bezpiecznym miejscu ugryzła go w rękę jakaś zbłąkana kula. Na szczęście nic wielkiego. Trzeba go było widzieć, z jaką miną dał się bandażować! Ani pisnął, tylko oczami wywraçał.

Domysliłem się zaraz i poszedłem pod wskazanym adresem.

Leżeli obaj przy sobie i znowu się o coś sprzeciali. Mniejszy poznał mnie zaraz.

— Zbysiek nie chce mi wierzyć, że kropnąłem jednego z rewolweru. Pan mi napewno znowu uwierzy. Tak, jak przedtem.

— Bardzo możliwe.

— A widzi pan, coby się było z nim stało, żeby nie ja?!  
.

— No więc zrównaliście się — obaj jesteście ranni.

— E, co ja. On walczył, a ja przypadkowo.

— Ty także.

— No tak, trochę z tego rewolweru, com go wziął wachmistrzowi temu, który u naszej sąsiadki. Ale bił ostro! Ja już przedtem ze Zbyśkiem strzelałem z rewol-

weru na Wulce. Żeby tylko Zbysiek mógł dobrze chodzić na tę nogę.

— Co ty się znasz, nic mi nie jest.

— On tylko tak umyślnie, a obrócić się nie może — mówił, patrząc z miłością na brata. — A mnie mówi, że go tylko drasnęła.

— Była u was mama? No i co?

— Była, przestraszyła się i płakała; jak zwykle kobieta. Powiedział to takim tonem, że parsknąłem głośno.

— A ty Władek, nie udawałbyś, że wstaniesz jutro?  
— rzucił zgorączkowany Zbysiek.

— Żebyś wiedział, że za kilka dni wstanę. Ale teraz, to już z karabinem.

— Aha.

— Tak jest, żebyś wiedział i to z twoim, bo jest mały.

— Tylko się waż ruszyć!

Gotową kłótnię przerwało wejście matki.

Dwie pary drobnych rąk wyciągnęły się zgodnie, miłośnie do niej. Poznaliśmy się. Na odchodnem szepnąłem:

— Ma pani dzielnych chłopców.

— Bogu za to dziękuję — odrzekła poprostu.

Wychodząc, usłyszałem jeszcze dwa dziecinne głosy:

— Jest mi o wiele lepiej.

— A ja już całkiem zdrowy!...

Szept matki:

— Moje złote...



# MANDOLINA



Nie rozłączali się prawie nigdy, tylko tyle, że wieczór spędzał z nich każdy w swoim domu. Razem przy książce, podczas zabawy, na wycieczkach, w jednej siedzieli ławce w gimnazjum aż do piątej klasy. Naturalnie, że razem też uciekli w szeregi formującej się obrony Lwowa i jednej treści popisali listy do swoich ojców: lekarza i urzędnika kolejowego.

Największą ich pasją były mandoliny, które zabrali z sobą. Początkowo kłopot był z ukryciem tych krzykliwych sprzętów, nie takie jednak sprawy umieli przeprowadzić. Kiedy już byli na stanowisku, o jakie 50 kroków od linii nieprzyjacielskiej, mandoliny nagle się jakoś zjawiały i witane były przez towarzyszy broni z wielkim zadowoleniem.

Jeśli tylko nastąpiła przerwa w walce, Jurek i Zdzisiek wygrywali wszystkie pieśni polskie. Delikatny dźwięk rozdrganych strun niósł się w ulice i rozplýwał przy wtórce terkoczących gdzieś obok karabinów i kulomiotów. Słuchała „wiara“, nucąc czasem znane pieśni, cicho robiło się

nawet na chwilę w szeregach ruskich. Melodja osnuwała wszystkich nicią zapomnienia.

A potem głos Jurka:

— Te, Ukrainiec! Coś dla ciebie, tylko raz nie bądź chamem i nie strzelaj, to się podniosę, żebyś lepiej słyszał. Znaj pana i otwieraj gębę.

Popłynęły dźwięki: „Oj ne hody Hryciu“. Jurek i Zdzisiek wysunęli się cokolwiek i naraz obie linje w głos, zgodnie rytmicznie śpiewają popularną piosenkę.

Pośpiewali, umilkli. Z innego odcinka gęsto padały strzały.

— No, to kiedy tak ładnie my z wami — woła cienkim głosem Zdzisiek — to teraz wy z nami.

Silniej, energiczniej, z jakimś zapałem zadzwieczały struny serdeczną melodją: „Nie damy ziemi“.

Śpiewają chłopcy z ogniem, wtóruje im kilka głosów ukraińskich.

Biją sobie nawzajem brawo.

— To tam nie same hrunie między wami, pewnie „strilcy“?

— Tak.

— I tacyście głupi, że się bijecie, przecież to nasze miasto. Lepiej przejdźcie do nas.

W odpowiedzi na to kilka pojedynczych strzałów.

— Tacy wyście? — Ja do was jak Paderewski, a ty kulą? — A naucz się strzelać. Tak się bije!

Odcinek polski odpowiada gęstym ogniem, mandolinarze już z karabinami, a gęby się im nie zamykają.





*Największą ich pasją były mandoliny... (str. 55).*

— Ne hody Hryciu za kamenyciu, tylko tu bliżej. A Panu Bogu okien nie wybijaj, dosyć już szyb natłukłeś w mieście.

— Ty! dziś 12 listopada, 13 hycel z ciebie porobi sznycle!

Ogień się wzmógł, głosów już nie słyszeć. Ukraińcy próbują wypadu, który kończy się dwoma trupami i kilkunastu rannymi wśród nich.

\* \* \*

Zapadający mrok ciężki, nieprzenikniony ani jednym promykiem latarni.

Główna ulica wyciąga się martwa, pusta, gubiąca się już na kilka kroków w zbitych masach wczesnej nocy. Czołgają się ku niej boczne uliczki, znaczące się swymi wylotami, po których włóczy się wiatr przenikliwy.

Polska placówka wysunięta pod bok wroga.

Rozlega się daleki huk dział. Odpowiadają mu ostre strzały karabinowe i grzechot kulomiotów, które rozterkowały się na dobre. Świst zimnego wiatru miesza się z świergotem kul pędzących nad głową, obok niej, uderzających o marne jakieś drzewa przy drodze, z których sypią się zapomniane liście, jak zbudzone ptactwo — kul, goniących się po dachach ze śniegiem lub wświdrujących się w zimne ciała muru. Obok z szklanym płaczem upadła na bruk szyba.

W kępę drzew, niedaleko pewnego domu, jakby się uwzięły, wpadają ołowiane serca karabinów, silnie wśród tych mroków dzierzonych w marznących dłoniach.

Z jakiegoś zakątka duszy, która dziś inaczej żyje, wstają zwidzenia, mgliste przypomnienia, strzygi, strachy, śmierć chodząca nocą taką w bieli...

Na tym odcinku walki nie ma.

— Zdzisiek!

— Co!

— Zimno ci?

— Pewnie.

— Głodnyś pewnie, jak ja. Te ścierwa nie dały nic przewieść. Tylko naboje. Skul się podemną, mam cieplejszy płaszcz.

Milkną.

Cała atmosfera rozdrzana jest hukami dalekich i bliskich strzałów, pozatem żadnych głosów nie słysząc. Czasami ma się wrażenie, że wszystko obumarło, że tylko jakieś setki machin wyrzucają same te żelazne, rozlatujące się na wszystkie strony gońce.

Na horyzoncie z za wysokich kamienic wysuwa się coś, jak krwawa dłoń, rozszerza, obejmuje pół nieba, rozprostowuje płonące palce coraz szerzej, skurcza je, rzucając czerwone blaski w szyby jęczących okien.

Z boku, w górze wykwitają raz po razu pękające pociski.

Nie wywabia to nikogo z domów. Może gdzieś, tam, z za firanek, wpatrują się przez niezbite jeszcze jakieś szyby czyjeś niespokojne oczy, które dziś lub wczoraj żegnały kogoś drogiego, który teraz hukami swej broni śle im pozdrowienie i znak dając, że czuwa.

Rozogniła się dziś noc szaleńcem bitewnym, zataczającym się po wszystkich ulicach i śpiewa hymn najstraszniejszej, jaka była, wojny.

Zdziśkowi zdaje się, że w jakiejś kamienicy widzi oczy Zośki, siostry swej, która ułatwiała mu ucieczkę z domu. Dreszcz go przejmując, trąca lekko Jurka:

— Jurek — wiesz co?

— Co?

— Ci, tam śpią, jak woły, podle jest na świecie, możeby tak lekko zagrać?

— Jak chcesz. Choć zimno w palce.

— Będzie raźniej.

— Dobrze.

— Zaczynaj.

I nagle, w tę chwilę ciszy bojowej, przerywaną dalekim porykiem pocisków, wsącza się coś tak obcego tutaj, tak niespodziewanie słodkiego, cichymi, przytłumionymi dźwiękami bije o zdrętwiałe w grozie i zimnie, poranione mury. Dwie mandoliny, delikatnie, cichutko, tej wczesnej, strasznej nocy ślą tonami Chopina drżące pytanie:

Czemu sercu smutno,  
Czemu w duszy żal?...

Miarowo, nieustannie, odpowiadają na to świszczące kule.

\* \* \*

— Jak wy właściwie urządzaacie, że tych mandolin nie widać? Nie wiem, kiedyście je tu przywlekli.



— Panie poruczniku, melduję posłusznie, ja, Jurek i nasze mandoliny zawsze razem. A takie to małe, że łatwo schować.

— Panie poruczniku, to nasza orkiestra.

— O niej jest nawet wiersz, który śpiewamy. Ułożył go Franek, u nas zwany Baka, bo takie rymy pisze, jak tamten.

— Chłopcy — dla pana porucznika pieśń o mandolinowej orkiestrze.

Kilkanaście dźwięcznych głosów na znaną melodję śpiewa wesoło:

Jurek, Zdzisiek tęgie miny,  
Rzną siarczyście w mandoliny,  
Kiedy milczą karabiny

Ha!

Wiara nasza pełna frantów,  
Bez tam jakichś „objantów“,  
Dumna ze swych muzykantów

Ha!

Jak jej zaczną grać od ucha,  
Każdy medytuje, słucha,  
Zapomina pustki brzucha

Ha! .

Potem na bok mandoliny,  
Znowu w garściach karabiny,  
W sercach wszystkich cel jedyny

Ha!



Miasto zwolnić od mitręgi,  
Odbić kawał kraju tęgi,  
Sprawić Ukraińcom ciegi!

Ha!

Chłopcy w wolne miasto skokną,  
W kwiatach będzie każde okno,  
Na myśl o tem oczy mokną

Ha!

Grajcie! Atak zaczynamy!  
Wszyscy społem przysięgamy,  
Że im Lwowa nie oddamy

Ha!

Umilkli i patrzą w swego komendanta. Wzrok jego z miłością ślizga się po tych dzielnych, rozgrzanych pieśnią twarzach. Zaraz jednak przybiera minę marsową i mówi:

— No wcale, wcale, lepsze niż myślałem, ładne.

— Widzisz Baka?!

— Tylko nie brzdąkać mi po nocach.

— Rozkaz, panie poruczniku! To tylko dlatego, że było zimno i jeść się trochę chciało.

— Żeby tego nie było na drugi raz.

— Rozkaz, panie poruczniku!

\*

— Ty, Zdzisiek! Właściwie to stąd niedaleko pod nasze mieszkanie! Coby to była za frajda, gdybyśmy tak nagle pod oknami Zośki zagrali serenadę?

— Wszystko możliwe. Przecież ich wnet musimy wygolić. Tam nas czekają. W mieście głód.

Jurek zapatrzył się długo przed siebie, jakby chciał dojrzeć kamienicę, w której Zośka...

Wieczorem, niespodziany atak, który chłopcy złamali, a potem z własnej inicjatywy rzucili się na nieprzyjaciela. Ten, pod wpływem nieudanej imprezy, cofał się w górę ulic, ostrzeliwując się gęsto.

Miedzy walczącymi pierwszy Jurek. Rzuca się jak wściekły pies, podsuwa się, strzela, jak karabin maszynowy. Pod płaszczem, z boku, jak kopica, znaczy się mandolina. Doszli do pewnego miejsca, gdzie się miano zatrzymać. Jurka już nic powstrzymać nie zdoła. Za nim wysunęło się kilku chłopców. Już niedaleko... Jeszcze tylko ten zakręt... Numer szesnasty.

„Numer szesnasty“ — dysze Jurek — „szesnasty“, „szesnasty“ — powtarza w takt wysyłanych kul. W mroku świecą mu się duże, załzawione oczy Zośki... Jeszcze trochę. Wreszcie. Numer czternasty. Nadbiegła reszta. Obsadzono kamienicę. Wydano rozkazy. Ukraińcy usunęli się w poprzeczną ulicę.

W jakiś czas potem mówi Zdzisiek:

— Widziałem cię Jurek — szczęście masz jakieś, że cię nie utłukli. Pierwszy byłeś. Morowo, słowo daję, Dobra nasza!

— Szkoda, że nie szesnasty.

— Jakto?

— No, bo pod szesnastym wy...

— Widzisz, nawet zapomniałem. Jak pozwolą, zaraz tam przelecimy, na chwilę tylko. Ale wiesz co? Gdyby tak Zośce serenadę. Może usłyszysz.

Mandoliny z pod płaszców, palce dotykają strun. Po ulicy, po której włóczy się jeszcze dym prochu strzelniczego i czuć miał z rozwalonych murów, płynie pieśczołliwa pieśń. Jurek gra ją dziś z większem jeszcze przejęciem. Wysuwa się przed kamienicę i patrzy w górę. Potem czerwienieje, urywa melodję, zaczyna na nowo, kłania się, usta mu drżą, rozchylają się.

W rozbitem oknie jasne pukle dziewczyny...

\*

— Zdzisiek, Zdzisiek — ale cię skrobnęli uczciwie!

Błady Zdzisiek leży sobie spokojnie w sali szkolnej, służącej za miejsce opatrunkowe i uśmiecha się. Zaczyna mówić z trudem:

— Nic się nie bój... Jakoś to będzie... kula wyleciała ze mnie. Tu z prawej strony... pod bokiem. Piecze szelma ta szrama i krwawiła, bo mi mięso wyrwała... Wyliżę się wnet.

— Mówili, że to bolesne, ale nie niebezpieczne.

— A ja już o mało byłbym tam został... gdyby nie mandolina... Tyś nie widział, boś się opędział od tych draniów.

— Jak to, mandolina?

— A no, to było tak... Podsuń mi tylko poduszkę... Wiedzieli, że nas mało... Więc naraz granatami ręcznymi... Wiesz przecie...

— No.

— Djabła zjedzą, nic nie robią... Potem... A! piecze, jak kataplazmy!... Czekaj, ja tak powoli na drugi bok...

Potem ten wypad... Dwu ich naraz na mnie. Jeden strzelił, czułem, że mnie coś ugryzło... Kolbą mu łeb rozbiłem... A ten drugi już do mnie z bagnetem. Karabin wypadł mi z ręki... W jednej chwili, sam dobrze nie wiedząc, co robię, sięgam pod płaszczy... za mandolinę i buch go w łeb. Zadzźwięczało pudło, żołnierz krzyknął... przestraszył się... widocznie nie widział jeszcze mandoliny, albo co... Zgłupiał, a ja za jego karabin i w łeb... Trwało to może dwie sekundy... Szczęście, że nie dłużej. Potem upadłem, a wy tamtych... Drugie szczęście miałem, że jak padałem, chrymnąłem na jakiegoś trupa, bo byłbym sobie łeb rozwalili... Zamroczyło mnie.

— Nie gadaj.

— O, także lekarz! Jurek... gdyby nie ta mandolina... powiedz... A krzywił się dawniej komendant.

— Miej rozum i nie gadaj.

— Żal mi strasznie mandoliny... Pewnie strzaskana gdzie leży.

— A to heca, wiesz, nawet nie bardzo rozbita.

— Skąd wiesz?

— Znalazłem i ledwo wydobyłem z pod buciarów wiary. Śmieli się, że podnoszę grata, ale tam przecież, wiesz, wstażka Zośki!

— Ty... — chce coś powiedzieć Zdzisiek, nie może jednak, krzywi się boleśnie, chce się posunąć.

Miłośnie, troskliwie obejmuje go Jurek.



# „POWSTAŃCY“





— Rany Boskie! Ależ to biją, że chałupa się trzęsie.

— A cóż to mama nie wie, że to wojna? Do szczyłania mama jeszcze nie przyzwyczajona?

— Cóżeś taki mądry, Felek, i uczysz matkę? Wiedzicie go! O, to gdzieś koło nas buchnął granat.

— A niech se bucha, cholera ruska. Już jak my im buchniemy, to będzie dopiero.

— A ino, z czego? Armat przecie nie mamy.

— Będa, bo je zdobędziemy.

— Pewnie ty to zrobisz? Chryste, znowu!

— Mycyje! Wywalił gdzieś i nie pewnie nie zrobił. A mama zaraz gwałtu.

— Siedź cicho, raku! Nie wiesz to, że ojciec poszedł i tam teraz, w tem zimnie...

— Miał siedzieć w chałupie, jak się Polska robi? No nie, Józek? Ma teraz robotę, to nie ma czasu się bać. Jabył też się nie bał. I ty Józek?

— Takie mikrusy, nie o wojnie wam... Znowu!

— Nie róć mama harmideru! A z tymi mikrusami to też nie tak, jak mama mówi. Tacy, jak my, też są w wojsku. Mamy już prawie po czternaście lat.

— Żeby ci nie powiedziała, jacy to żołnierze.

— Gadaj se mama, co chcesz, a my wiemy swoje. Nie nosiłem to do zajętej części Lwowa „Pobudki“, nie widziałem? Tylko mama zawsze przeszkodzi. Poco było mnie do domu ściągać. Teraz wstyd tylko, że nie noszę. Mogę to, skoro mi mama zabrała buty?

— Dość już, że ojciec jest. On powinien, ale takie baki!

— E, nie zna się mama na wojsku. Duch musi być!

— Dam ja ci ducha z takim gadaniem. Teraz kogoś trafiło na ulicy, bo jęczy.

— Wyjdziemy zobaczyć.

— Ani się ważcie! Ja sama.

— Kiedy się mama boi.

— Ej, bo cię zdzieię! Lecę i zaraz wracam.

W suterrenach zapadał już mrok. Trzeszczały po ulicach strzały karabinowe, ryczały granaty i szrapnele, a wszystko to mieszało się z wyciem jesiennego wichru, który w tym dniu miótł w dodatku ostre igły śniegowe.

Felek i Józek, bliźniaki, podsunęli się pod okienko, tuż prawie przy chodniku.

— Do djabła z takim mieszkaniem! Nogi tylko widać. Dymnąć nie można, bo matka z tymi butami. Józek?

— Co?

— Pożycz mi butów.

Józek, zawsze milczący, powoli odpowiada, jakby ważył każde słowo:

— Butów?

— No, pewnie, że nie fortepianu.

— Gdybym miał dwie pary...

— Cóżes to hrabia? Masz jedno. Nie potrzebne ci, bo siedzisz w domu.

— Tak, ale ja właśnie...

— No, wypłuj! Co właśnie?

— Nie powiesz mamie?

Felek się zrywa, przyskakuje do Józka, oczy mu płoną, mówi jakby wzruszony:

— Ty też? A ja myślałem, że ty taki mamin bubek!

— Dawniej już miałem — mówi teraz już pospiesznie, jakby się chciał od razu wywnętrzyć — ale ciebie przy mamie nie było. Teraz, skoro musisz siedzieć w domu...

— Józek, mój Józek! Nie będę musiał, jak mi dasz buty.

— Tyś już był, a ja nie. Jeśli nie wezmą do wojska, to i ja „Pobudkę“.

— Nie dasz rady — rzekł tonem doświadczonego — trzeba wiedzieć, umieć w nocy przez linje przeleść i tak rwać, żeby cię kula nie trafiła. A tam, po tamtej stronie morowo trzeba się zwijać, by nie wpaść im w łapy, bo kula zaraz w łep. Ho, ho!

— Dam radę, Feluś!

— Nie ma co! Dawaj buty.

— Nie dam, Feluś! — powiedział stanowczo.

Chwila ciszy. Obaj nasłuchują, jak grzmocą strzały i wyje wicher. Wreszcie Felek, widząc, że inaczej nie poradzi, zaczyna:

— Słuchaj, Józek. Zrobimy tak: pożycz mi pod słowem honoru, no, wiesz, takim żołnierskiem, buty na trochę.

— Jak to?

— Dasz buty, ja pójdę do komendy odcinka, tam mam kolegów w wojsku, wydostaną gdzieś jakieś buciska, a te ci odeszłę przez kogoś. Słowo wojskowe! Rozumiesz? Chyba, że mnie po drodze trafią. Ale ja mam szczęście. Wypróbowałem. No, pędzej, bo mama wróci. Skoro i ty chcesz, toś kolega, a kolega musi pomóc!!

Ten argument poskutkował. Józek zdjął buty. Felek w mig je ubrał i wyleciał jak z procy.

Za pół godziny przysłał istotnie buty z powrotem i nagrymożoną kartkę, że mają się spotkać obok gmachu komendy odcinka, szkoły Konarskiego.

Wieczorem zgłosił się do nas chuderlawy chłopczyzna z prośbą o przydzielenie go do przemykania na front „Pobudki“.

— Brat mój już nosił — mówił — i nauczył mnie, ale on teraz z karabinem, bo jest starszy i silny, jak nie wiem co!

— Dobrze! Zgłosisz się u żandarma w drukarni.

— A jak mi nie da?

— Zrobimy. Tylko uważaj!

— Wi się!

— Pójdziesz na razie z drugim.

— Poszedł i spisał się doskonale. Już kilkakrotnie przełaził front, wreszcie kiedyś w nocy, przed nowym transportem, spotkał mnie na ulicy i zaczepił.

— Proszę pana.

— Co? A usunąć się, bo padają strzały.

— E, głupstwo, — powiedział tonem starego „wojaka“ — nie dziwne mi. Czy mogę prosić, by ktoś zaniósł tę kartkę.

— Do kogo?

— Do mamy. — Złakł się, że może za dużo powiedział i zaraz dodał:

— Nic, tylko taki interes domowy.

— Dobrze. Gazety wzięłeś?

— Mam już i zniknął w mroku nocy.

Na kawałku odwrotnej strony odezwu komendy, nasmarowane były te proste śliczne słowa:

„Nie gniewaj się mama na mnie i na Felka, ale przecież musieliśmy, bo mało ludzi. Nie trzeba się o nas bać. I niech mama nas nie szuka, bo po wojnie sami się znajdziemy. A tak byłby znowu wstyd. Teraz my razem z tatą. Nie ma nikogo w domu, to i mama może do sanitetek. A Felek ma buty całkiem nowe, więc tamtych nie zniszczy“.

Na rozczulenia nie było czasu. Wnet też o tem zapomniałem.

W kilkanaście dni potem odwiedziłem kolegę w szpitalu. Już wychodziłem, kiedy doszedł mnie słaby, dziecienny głos.

— Proszę pana!

Odwróciłem się. W rogu Politechniki przemienionej na szpital, leżał obandażowany chłopiec. Miał rękę przestrzeloną. Poznałem Józka.

— Nie wiedziałem, żeś ranny. Boli?

— Nic już teraz. Trochę z początku. Wstane za kilka dni i znowu „Pobudkę“. Noszą dobrze?

— Dzielnyś! Noszą, noszą — mówiłem, <sup>1</sup>kryjąc wzruszenie — a ty nie myśl o tem. Dobrze ci tu?



— Ojej! I tata tu jest. Ale z nim gorzej, bo go skrobnęli w nogę. Niech się pan zapyta, czy będzie z nim dobrze. Pielęgnację ma, bo mama pilnuje. Posłuchała mnie i jest u sanitetek. O, idzie.

Podeszła do łóżka skromna kobiecina i pochyliła się nad dzieckiem.

— Zuchów ma pani!

— A no, te raki i takby nie usiedziały w domu. Skoro tak potrza. O tych dwu jestem już spokojna, ale Felek — zatroskała się serdecznie.

— Nie bój się mama — szeptał Józek — da se radę. On morowy. Mówią, że dobrze się zwija. Pewnie, silniejszy odemnie i nauczył się z karabinem. Szczęściarz! W polskim wojsku. Może już nawet zostanie. Ale proszę pana, my ich wywalimy z naszego Lwowa?

— Bądź spokojny. Wywalimy, a wtedy ty, twój tata i Felek dostaniecie odznaczenia.

— Nam nie o to. O Polskę! Prawda mama? Tak, jak mamy dziadek w powstaniu. Opowiadała mama.

— Opowiadałam. A teraz leż cicho i nie kręć się, bo bandaż.

— Szepce jeszcze:

— I my byliśmy powstańcami, tylko nam się już uda...



REDUTA



Placówki nasze: ul. Bema, szkoła Kadecka, dyr. kolei, poczta i inne, będą kiedyś sławne w historii obrony Lwowa.

Korzystając z przerwy, udajemy się na pocztę, celem przyjrzenia się bliżej temu odcinkowi, o który tak zacięte toczyły się boje. Dochodzimy ulicą Kraszewskiego. Ucierpiała ona bardzo wskutek sąsiedztwa z ogrodem Pojezuickim i Sejmem, gdzie ogień tygodniami nie ustawał. Kamienice noszą liczne ślady kul, okna powybijane, kawałki murów leżą na chodniku. Wstępujemy do kamienicy pod Nr. 19 A, gdzie mieszka nasza znajoma. W mieszkaniu jej potrzaskane kulami szyby, porysowane obicia, zdruzgotane świeczniki elektryczne. Na podwórzu w kamienicy przechodniej skonstruowano przemyślną obronę.

Opuszczamy kamienicę i schodzimy w dół ulicy. Spustoszenie coraz większe; pod nogami mnóstwo tynku, szkła z szyb, odbitych, spłaszczonych kul, odłamanych kawałków futryn. Dochodzimy tak do ostatniej naszej placówki, gdzie chłopcy nasi broniąc się zawzięcie, stworzyli rodzaj fortecy z kamienicy, która przejdzie do historii. Kamienica ta wywiera potężne, wstrząsające wrażenie: cała jest podziurawiona kulami, poszarpana odpryskami

granatów, za z zdartego tynku świecą rany cegieł, ani jednej szyby, ramy okiennic wyleciały, z olbrzymiej bramy w strzępach zwisają pozdzierane jakby wstęgi drzewa, obok w murze dwa duże otwory rozwalone granatami. Wszystko mówi tu aż nadto o tem, ile razy przewalała się w szaleństwie bitewnym, groza śmierci i zniszczenia przyczajona w każdym załomie rozerwalnych murów, w oślepyłych oczach okien, ociekających brudnymi soplami i w ostatnim skurczu rozwartej jamy niegdyś bramy, a dziś zasłony jakiejś, utworzonej, z tego co było pod ręką.

Dom już umarł, uciekło z niego życie, zwłokami jego tylko wstrząsa drganie. Na zewnątrz robi wrażenie trupa, ale na wewnątrz wre i kipi życie nowe, inne niezłomne, nie lękające się niczego, bo zbratane ze śmiercią, która obojętnie błąka się po tych gruzach i uśmiecha się cicho, tak do jednej jak i do drugiej strony.

Nikt tu zresztą o niej nie myśli, nie ma na to czasu, panuje tylko jedna jedyna wszechwładna myśl: rozkaz i to poczucie, że wytrwać się musi, bo ta placówka jest szczeblem do zwycięstwa.

Zatrzymuje nas posterunek.

— Cześć! Przepustka?

Pokazuję legitymację, potem wraz z koleżanką naszą wchodzimy do wnętrza. Wicher ze śniegiem hula po frontowych pokojach — u okien młodziutkie, rozpromienione twarze żołnierzy. Przeważnie kilkunastoletni chłopcy — najstarszy może ma lat ośmnaście. Komendanta nie ma i kilku starszych. Na podłodze formalne stosy wystrzelonych naboi, w kątach nowe, przygotowane do walki.

Z sufitu runęły jakieś stiuki gipsowe, tapety w strzępach, ściany, jak sito od kul.

Ściskamy drobniutkie, zaczerwienione od mrozu ręce. Rozdajemy suchary, słuchamy opowiadań. Proste są, serdeczne, skromne, jak dusze tych spartańskich dzieci, z których każde jest bohaterem. Ze wzruszeniem patrzymy na to wszystko, wierzyć się prawie nie chce, że to możliwe.

Jaki był system obrony, ile w tem było szaleńczej odwagi, pogardy śmierci, sprytu i dowcipu, dużoby o tem pisać. To jest faktem, że walki w zdobywanych miastach Serbji, Belgji czy Francji nie obfitowały w takie epizody. To wszystko, cośmy o tych miastach czytali, jest blade wobec tego, na co patrzą nasze oczy — tembardziej, że dokonują tego prawie dzieci z własnego poczucia obowiązku.

— A nasz komendant to taki morus... I znowu przepyszny epizod.

— Prosimy dalej. Jurek prowadź!

W pokoju od podwórza na ziemi leżą sienniki, stoją oparte o ścianę karabiny, na stołach sterty ładunków, w kącie obok zburzonego pieca nosze.

— Przecież tu dostąpić nie podobna, jakżeż jedzenie? Ludzi nie ma w kamienicy!?

— He, he, i na to jest „sposób“!

Dowiadujemy się jaki to „sposób“. Pozazdrościłby go nawet Ulisses!

Oto wszystkie strychy i piwnice przytykających do siebie kamienic poprzebijano. Amunicja szła pod ziemią, żywność strychami, aż prawie do wylotu ulicy Kleinowskiej.



Jurek mówi, prychając śmiechem:

— Szło to wszystko, jak express; panie z tej ulicy pomagały. A te dranie myślały, że nas odetną. Figa z makiem! Możnaby pół Lwowa tak transportować i nic. Chodziło się pod ziemią, jak pod jaką twierdzą francuską, że aż ha!

Kamienica jest przechodnia — wydostajemy się na Sykstuską wprost na gmach poczty.

Szkielet jej dymi jeszcze wewnątrz od tlejących resztek. W czarnych wnętrzach jam i wyrw migają postacie, załśni czasem lufa karabinu, — gruz, resztki jakieś z urządzeń, druty zwisające ku ziemi, wyrzucone miną, wielkie żelazne drzwi, łuski z nabojów.

Zniszczenia widniejącej ulicy Słowackiego trudno opisać — środek jest zamknięty barykadą z wozów, szaf, łóżek, materaców.

Jest przerwa bojowa, więc można się spokojnie napatrzeć — zresztą wszystkim nie dziwny przecież świst kul, pod którymi codziennie chodzimy.

Swąd i zapach niechlujstwa, zaciętej, długiej bitwy wyciska prawie łzy z oczu.

— Cześć obywatelom!

Odwracamy się i poznajemy towarzysza broni z naszej nocnej przeprawy na dworcu kolejowym w pamiętnym dniu 3. listopada.

— Wy teraz „Pobudkę“, wiem — ja tu od tygodnia.

Przeciskamy się wśród zwalisk, wreszcie wracamy i z okien kamienicy przy ul. Kraszewskiego oglądamy

budynek Sejmu, który wygląda jakby dostał ospy: oto ślady kul, zdaleka już widoczne.

Za kilka godzin kończy się zawieszenie broni. Mimo woli oczy nasze spoglądają na ten zrujnowany dom i na postacie obrońców, pełnych hartu, najlepszej nadziei i radości, że oto dano im walczyć o utrzymanie polskiej stolicy kresowej, którą obronią napewno.

— Cześć wam!

— Cześć, cześć! — biegną za nami serdeczne, drogie głosy i zapadają w duszę niezapomnianem echem...



NA ODSIECZ



— Na takie dictum pułkownik odpowiedział podobnym głosem:

— Za młodzi jeszcze jesteście, za słabi.

— Chcę służyć w armji i być oficerem.

— Dobrze, ale wiecie, że na to potrzeba mieć przynajmniej sześć klas gimnazjalnych. Zresztą, o ile wiem byliście chorzy.

— Zdrowy już jestem, panie pułkowniku, melduję posłusznie.

— Lekarz co innego mówił.

— Może się omylił, panie pułkowniku, sam wiem najlepiej.

Pułkownikowi za dużo już było tego służbowego tonu, podszedł do dzieciaka, ujął go pod brodę:

— Dobrze, dobrze! Dzielnie, mój synu. Za mały jesteś. Widzisz, nie byłeś jeszcze w ogniu, nie odbywałeś marszów po nocach, robiłeś lekką służbę, a już zachorowałeś. Teraz już takich, jak ty, nam nie potrzeba. No, nie stój że już tak do licha, jak na warcie.

— Panie pułkowniku...

— Dość tej komedji!

— To nie komedja, przyszedłem do komendanta w sprawie polskiej! Tatusz, to ten w domu, prywatnie, tu pułkownik.

— Proszę, proszę!

— Tak jest, melduję posłusznie.

— A więc jako twój komendant rozkazuję ci zameldować się u matki, żeby cię odżywiła, bo wyglądasz jak śledź, a potem po jakimś czasie pomówimy.



— Panie pułkowniku, melduję posłusznie, ja proszę gorąco.

— Powiedziałem!

— Pan pułkownik wysyła oddziały pod Lwów. Tam tyle ludzi potrzeba, a o nich tak trudno.

— A ty skąd?

— Wiem, czytałem.

— Tam trzeba żołnierzy.

— Jestem nim, melduję posłusznie.

— Sił nie masz, dzieciak jesteś!

— We Lwowie młodszy jeszcze odemnie z karabinami.

— O to idzie, aby dzieci uwolnić. Matka!

— Pan pułkownik, jak szedł do Legjonów, najpierw myślał o Polsce, a potem o mojej matce. Zresztą uczył mnie...

— Tylko za wiele nie mówić!

— Rozkaz panie pułkowniku!

Chwila kłopotliwego milczenia. Pułkownik podszedł do stołu i zaczął przeglądać papiery. Chłopiec stał dalej przy drzwiach, wyciągnięty jak struna. W bladej twarzy świeciły mu się ze wzruszeniem oczy.

— Możesz odejść!

— Panie pułkowniku, proszę o zaszczyt wystąpienia na front. Ja potem wszystko w szkole odrobię. Tylko teraz, tylko teraz! Każdy karabin potrzebny.

— Powiedziałem!

— Panie pułkowniku...

— Jeśli chcesz być dobrym żołnierzem, to naucz się najpierw słuchać, rozumiesz!

— Rozkaz!

— No już, bez żartów.

— Nie żartuję, melduję posłusznie, ja tak z serca. Wstyd mi, że tam koledzy moi we Lwowie... Zwykły (nacisk na to słowo) ojciec, to możeby początkowo się sprzeciwiał, ale pan pułkownik, żołnierz, rozumie...

— Rozumię i cieszę się, żeś taki. Przyjdzie i naciebie czas.

— Dziś przyszedł.

— Nie przemawiaj się ze mną!

— Nie śmiałbym, panie pułkowniku.

— Jeśli czujesz się żołnierzem, musisz spełniać to, co ci każą przełożeni.

— Rozkaz! — ostro wyrzucił.

— Natychmiast pójdziesz do domu, skrzepisz się i weźmiesz się do nauki. Zrozumiałeś?

Chłopiec drgnął, potem jakimś innym głosem odpowiedział:

— Rozkaz! — odwrócił się na pięcie i wyszedł.

\*

— Cóż to płaczesz? Chory może jesteś?

— Nie, właśnie, że nie!

— To dlaczego?

— Niech to mamie ojciec powie!

— Co się stało?

— Ech — zachnął się — ciągle jeszcze uważa mnie za dzidzi, a jestem mu pod brodę, choć wysoki. Na siebie to nie uważał, choć miał nas, a ja jestem przecież sam, nie mam ani żony, ani dzieci.

— Ha, ha! trochę jeszcze za wcześnie, cóż ty?

— Na to pierwsze pewnie, że zawcześnie, ale nigdy nie zawcześnie być dobrym Polakiem.

— Naturalnie.

— A wcale nie „naturalnie” będzie, jak powiem, że chcę iść na front.

— Dziecko.

— O, dziecko, a tam we Lwowie, takie „dzieciaki”, choć są mniejsze odemnie, dzień i noc walczą.

— Więc co?

— Więc, jeśli ja idę, nie jak do ojca, tylko do pułkownika, który wysyła odsiecz, który rozumie żołnierza, a on nie...

— Kochany synusiu, przecież lekarz...

— Znowu lekarz! To plaga z tymi lekarzami! Ojciec też, z tem wyjeżdża.

Wszedł pułkownik.

— Cóż ty się tam awanturujesz?

— Nic!

— Co za ton? Proszę! U mnie w kancelarji było inaczej jakoś.

— A, tak! Tam był pan pułkownik i ja żołnierz, tu tatuś i ja „dzieciak” — zaakcentował przeciągle ostatnie słowo.

— Ty! grzeczność by nie zawadziła!

Chłopiec nic już nie odpowiedział, tylko ze spuszczoną głową wyszedł do drugiego pokoju.

Po kolacji pułkownik odbył długą, rzeczową konferencję z synem. Chłopiec słuchał, od' czasu coś bąkał, wreszcie zdawał się być uspokojony i poszedł spać.

Od tego czasu chodził dziwnie skupiony, uczył się niechętnie, często się zamyślał i czatował tylko na świeże dzienniki, w których szukał przedewszystkiem wiadomości z pod Lwowa.

Na kilka dni przed Bożem Narodzeniem nagle się ożywił. Znikał często z domu i konferował między budynkami z jakimiś dwoma chłopcami.

W Wigilję i pierwszy dzień świąt był wesoły i dziwnie ciągle kręcił się koło ojca i matki, szukając pretekstu do ucałowania im rąk.

— Pewnie znowu będzie prosił — mówi pułkownik do żony. — Złote dziecko, żeby tylko z tem zdrowiem...

W drugi dzień świąt chłopiec ubierał się jakoś dłużej i bardzo starannie. Skarżył się, że mu zimno i prosił o cieplejszą bieliznę.

Pułkownik z żoną wyszedł po południu do znajomych. Gdy wieczorem wrócili do domu, chłopca już nie było. Na stoliku obok łóżka matki leżał ucięty pukiel jego włosów, na biurku list do ojca:

„Drogi Tatusiu, Pułkowniku!

Tak, jak chciałeś, przez tydzień się krzepiłem i jestem już zdrów, jak koń. Nie mogę zostać w domu, kiedy tam, na wchodzie, tak strasznie. Czytałeś przecie dzienniki, wiesz. Lwów bez wody, bez światła, bombardowany, kościoły się wala, dzieci mrą z głodu. Nie mogę, jak Was wszyst-





*Panie pułkowniku, melduję posłusznie... (str. 84).*



kich kocham, nie mogę! Ty to zrozumiesz Tatusiu Pułkownik, bo i Ty tam pójdziesz, o ile na Twoim froncie będzie spokój. Poszliśmy z Józką i Frankiem. Błagam Cię, nie szukaj mnie”!

Pułkownikowi ręce lekko drżały. Popatrzyli na siebie z żoną długo, serdecznie i w tem spojrzeniu wszystko zamknęli...

\*

Z końcem stycznia nadeszła wiadomość. Chłopiec pod przybranem nazwiskiem walczył dzielnie i pierwszy był wszędzie. Ciężko ranny pod Chyrowem w szpitalu przyznał się, kto jest i prosił o napisanie listu do rodziców, by ich uspokoić.

Do Franka, który przyszedł go odwiedzić, słabym głosem mówił:

— Ty, Franek!

— He?

— Jak myślisz, będzie się pułkownik sierznił?

— Jaki pułkownik?

— E, gamoniu! nie wiesz, mój ojciec!

— Wiem ja?... Kule cię spruły galanto.

— Obie już wyjęte, mam na pamiątkę. A co do pułkownika...

— Zły będzie i na mnie też.

Chłopiec zapadając znowu w gorączkę szepce:

— A właśnie, że nie!... On lubi morowców... A my przecież...



„ŻOŁNIERZ ŻMUDA” ~ i MAMA



W dorywczej komendzie pewnego odcinka bojowego w listopadowych dniach Lwowa, zgłosiła się u dowódcy *jakaś kobieta*. Okutane to było biedną chuścina, trzęsące się z przerażenia i zimna, gdyż padał właśnie śnieg, nieporadnie rozglądające się po zatłoczonej żołnierzami i zapchanej różnemi gratami izbie. Odcinek ten był akurat gęsto ostrzeliwany, pociski padały blisko komendy, po dachu dzwoniły kule karabinowe, skomlały szybujące górą szrapnele, czasem brzęknęła wybita szyba, a wtedy przez okno sypały się mokre płatki śniegu i wirowały w izbie, w której wrzało gorączkowe życie.

Właśnie dowódca rozkazał opuścić izbę z powodu blisko pękających już szrapneli i wydawał mi jakieś rozkazy, gdy w tem babina, kuląc się i z trwogą zerkając na wybijane szyby, podeszła do niego.

— A wy czego? Wyjść natychmiast! Tu teraz już niebezpiecznie!

— Wyjdę panie, ale przedtem...

Z piekielnym cichotem *pękł gdzieś obok szrapnel*.

— Matko Najświętsza!

— A widzicie, mówiłem! Natychmiast wychodzić!!

— Zaraz. Bo to proszę pana...

Ponowny trzask szrapnela, aż resztką szyb wyleciała.

— Jezu! To już tu...

— Co wy właściwie matko? Na korytarz prędko!

Widząc, że nie odczepi się kobiety, wyszedł za nią na długi mroczny korytarz.

— Więc? tylko prędko!

— Błagam pana o *syna*.

— Co? Nie rozumiem.

— On tu jest. Uciekł. *Ma lat dopiero czternaście.*

— Nazwisko?

— Żmuda. Janek Żmuda. Proszę pana, bo to...

— Dobrze. Zobaczymy.

Dowódca zawołał podoficera, kazał kobiecie do niego się udać, wrócił pośpiesznie do izby.

— Bo to proszę łaski pana, chłopaczysko wyrosło duże, choć dzieciak. Pan mówi, iż, niżej lat szesnastu się wogóle nie przyjmuje, a on ma dopiero czternaście. Ośmnastego grudnia skończy. To ja przysła...

— Chodźcie za mną. Choć tu takiego nie ma. Znam wszystkich.

Weszli do jakiegoś składu od podwórza, gdzie chłopcy rozpakowywali ładunki, czyścili starą broń, wydawali bandaże sanitarjuszom i sanitarjuszkom. Byle jak ubrani, przepasani pasami austriackimi, wydobytemi z jakiegoś magazynu, z czapkami przeważnie gimnazjalnemi, gdzie-

niegdzie na czuprynach „zdobyta“ czapka niedawnego „*manschaftu*“, ozdobiona orzełkiem polskim lub kokardką biało-amarantową. Zwijało się to wszystko, krzątało z przejęciem słuchając rozkazów starszych i robiąc srogie miny. Jeśli padł gdzieś niedaleko pocisk, jeden z drugim mikrus odwracał głowę i spluwał lekceważąco. Najmłodszy najgorliwiej i z największą „*pogardą śmierci*“.

— Czy tu jest Żmuda?

Nikt nie odpowiedział.

Tylko w kącie przykucnął ktoś *i udawał, że jest bardzo zajęty*. Nie uszło to uwagi babiny. Jednym susem była przy nim.

— Janek, raku zatracony! To ty się od matki odwracasz? To on proszę pana!

— Żmuda?

— W wojsku polskim nazywam się *Wiśniewski*.

— Wicie go! Szlachcic! *Wiśniewski*. Taki on *Wiśniewski*, proszę pana, jak ja hrabina. Jeszcze łże!

— Ile lat?

— ...ście.

— Wyrażnie!

— On proszę pana ma lat czternaście.

— *Ale siły na ośmnaście!!* Też mama wstyd robi i włóczy się pod kulami!

— Pójdiesz do domu.

— Mama tu rozkazuje?

— Dam ci rozkaz, że...

— Niech mama idzie na korytarz.



Na kurytarzu usłyszałem taką rozmowę.

— Janek, dziecko drogie...

— Dziecko, to Józek w domu, którego mama odleciała, a ja tu *żołnierz*!

— Cóż ty mi bąku będziesz mówił o tem odlatywaniu!

— Nie jest tak?

— Jak cię trzasnę! Żołnierza za dwa grajcary! Widzicie!

— Mamo!!

— Cóż tak wrzeszczysz?!

— Jeśli mama tak do mnie, to wylecę na ulicę, stanę sobie nawprost tych tam i niech mnie kule...

— Jezu, Jezu! Janeczku, posłuchaj matki i chodź. Tak się boję.

— To niech mama dyma do domu.

— Nie pójdę sama. Musisz!

— Muszę co innego! Nie mogę inaczej. I Franek Gąsior i Władek Kasprzycki i Józek Węgiel poszli, nawet strzelają, biją się, a ja tu bezpieczny. Służba pozafrontowa — dodał tonem doświadczonego.

— Chodź!

— A mama ciągle kręci katarynę. Jeśli się mama boi, to ja pokażę, któredy można się przedostać. Ostrzeżliwują prawą stronę. Trzeba po lewej z boku, przecznicą, stawać w bramach i jak cholera już trzaśnie, przelecieć do drugiej bramy. Tylko się nie zatrzymywać!

— Janek! Janek!

— No?! I tak już wstyd z tem przyjsciem mamy. Będzie kłopot, żeby mnie z powrotem przyjęli. O co mama

płacze? A lepiejby było, żeby Lwów cały zajęli, mamę  
wegnali, może Józka zabili? I tak szczęście, że mieszkamy  
po polskiej stronie!

— Wróć się!

— O rany Boskie! Nie wróć! Wyrwę na inny od-  
cinek. Owa, wszędzie mnie już teraz przyjmą. Idźże mama  
do domu i nie płacz, bo się będą ze mnie śmiali, O, tedy,  
przeprowadzę.

— Ale będziesz uważał?

— To się wi. Otrzyj mama oczy!

— Niechże cię Pan Jezus chroni, sieroto jedyna.

— A na Józka uważać, żeby mikrus nie wyłaził na  
ulicę — dorzucił głosem „doświadczonego” w sprawach  
bojowych. — Aha, mam tu „zafasowany” chleb. Weź  
mama, bo może wam braknąć, a my tu mamy. No już!

— Ale jak będziesz mógł, to przyjdiesz?

— Dadzą urlop, to przyjdę. Naturalnie. Do widzenia.  
Tylko się nie bać!

Nie dali tak prędko urlopu, bo *w tydzień później  
był ranny w ataku na Sejm*. Wśliznął się jakoś z krótkim  
karabinkiem greckim, który skądś wy dostał, w grupę ata-  
kujących i wytrwał do ostatka. Sanitarjuszowi, który go  
wyciągał z linii bojowej, powiedział słabnącym już głosem:

— *Głupstwo, w rękę! Mamie trzeba dać znać, iż  
tylko draśnięty... a! bo... znowu przyjdzie... z płaczem  
i będzie wstydz...*

~~~~~

LULAJŽE JEZUNIU



Rannym najmłodszym żołnierzom w szpitalach
lwowskich na „Gwiazdkę“ r. 1918.

Lulajże Jezuniu, lulajże, lulaj,
a Ty go Matulu w płaczu utulaj.

*

Nic Mu nie przerwie snu Najświętszego,
nic już nie grozi głowinie Jego.

*

Bowiem o wrota stajni oparta,
polskich żołnierzy niezłomna warta.

*

Zaszczyt największy przypadł jej ninie:
straż honorowa przy tej Dziecinie.

*

Więc też na „baczość“ preżą się chłopcy,
niech znają naszych królowie obcy.

*

Nie dojdzie tutaj noga niczyja,
kto nie zna hasła: Jezus-Maryja!

*

Możesz spokojna być Matko Święta,
nad Wami polska straż rozciągnięta.

*

Jest w niej Legunów brać wyborowa,
i ci najmłodszy obrońcy Lwowa.

*

Więc lulaj Jezu, nad Tobą oto
roje Aniołków tęczą się plotą.

*

To ci, co wczoraj karni i śmieli,
w drobnych rączynach karabin mieli...

*

Gdy potem zoczym Twój wzrok otwarty,
zaśpiewam jeszcze przed zmianą, warty:

*

„Nie damy ziemi“, co krwią spłynęła,
lub to najdroższe, że „Nie zginęła“.

*

A Ty w podzięcie dasz na zachętę
nam ucałować Twoe nóżki święte.

*

Więc teraz lulaj.. Gra pieśń eolska:
Zmartwychwstająca, wita Cię Polska!

~~~~~





## SPIS RZECZY

|                                     | Str. |
|-------------------------------------|------|
| Przedmowa . . . . .                 | 7    |
| W krwawem gnieździe . . . . .       | 11   |
| Staszek . . . . .                   | 15   |
| Po kolei . . . . .                  | 23   |
| Starszy żołnierz . . . . .          | 29   |
| Współpracownik . . . . .            | 37   |
| Bracia . . . . .                    | 47   |
| Mandolina . . . . .                 | 55   |
| Powstańcy . . . . .                 | 67   |
| Reduta . . . . .                    | 75   |
| Na odsiecz . . . . .                | 83   |
| „Żołnierz Żmuda” — i mama . . . . . | 93   |
| Lulajże Jezuniu . . . . .           | 101  |

## TEGO AUTORA:

**Chwile** — poezje (wyczerpane).

**Ostatni Hamlet** — szkic powieściowy, wydanie II.

**Echa** — poezje (wyczerpane).

**Pani Rokicka** — epizod jednej nocy.

**Hrabia** — nowele, wydanie II.

**Orlęta** — z dziejów walk lwowskich, wydanie IV.

**Awantury teatralne.**

**Czwórka** (szkice krytyczne).

**Śladem błękitnym. O sztuce i jej twórcach.** Z przedmową Leona Pinińskiego.

**O karykaturze** — szkic.

---

Arthur Schroeder „Les lionceaux”. Traduit du polonais par H. Broel-Plater, préface de M. Paul Casin. Illustrations de M. Michael Bylina Paris 1930.

